

„Na z góry straconych pozycjach” Z Donatem Kirschem rozmawia Andrzej Śnioszek

ANDRZEJ ŚNIOSEK: Donat Kirsch, urodzony w 1953 roku, pisarz, autor dwóch powieści, kilku opowiadań i eseju krytycznoliterackiego. Czy przeszkadza Ci, że trzeba o tym wspominać? Twojego nazwiska nie ma w Wikipedii¹, czyli jakby wcale Cię nie było – nie tylko dla szerokich mas.

DONAT KIRSCH: Oczywiście, że mnie nie ma. Od samego początku mojego pisarstwa podejrzewałem, że zagubię się w skrajności alternatyw, rozwidlających się ścieżek, bo to, co mnie interesuje, nie będzie specjalnie interesować nikogo poza nieznaczną garstką czytelników. Albo, mówiąc prosto, przyszłość, dla której pisałem, nigdy się nie zdarzyła poza światem modalnych relacji.

Co mnie zawsze interesowało, to jak poprzez formalne i językowe ekstrawagancje wyrwać się poza ograniczenia dominującej *episteme* (dla mnie stanowi ona różnicę między nieskończonością tego, co można, a tym, co wolno napisać – tak rozumiem Foucaulta). To prowadzi do następnego poziomu zagubienia, bo przecież przysłowiowe stado małych też może wystukać na komputerze, co zechce. Czyli w moim przypadku całe napięcie tego, co pisałem, polega na obyciu się bez szukania usprawiedliwień.

Taki poziom arogancji, zapewne nieuzasadnionej, jest w niemal dokładnej opozycji do królującego dzisiaj konceptu opowiadania historyjek (storytelling) – dla mnie po prostu powrotu do dławiących restrykcji pozytywizmu, „małego realizmu” czy „przedstawiania świata”. W tym zredukowanym modelu literatury nie liczy się funkcja odkrywczą, a jedynie ważkość tematyczna i podporządkowanie się wytycznym elit kulturalnych, będących niejako naturalnym przedłużeniem ustabilizowanych oligarchii.

Tu dochodzimy do sedna. Brakuje mi w dzisiejszej literaturze tego, co skończyło się kilka generacji temu: równorzędności inspekcji artystycznej i poznawczej. Przykładem może tu być Jorge Luis Borges, który zdołał opisać niezależnie od języka matematyki podstawowe paradoksy tejsze, ale i Teodor Parnicki ze swoją wizją historii jako światów możliwych. Podobnie Ryszard

1 Wywiad został przeprowadzony w sierpniu 2016 roku. Kilka miesięcy później w Wikipedii pojawił się artykuł o Donacie Kirschu (przypis redakcji).

Wagner (jako poeta) przedstawia w *Parsifalu* (generację przed Einsteinem) słynne stwierdzenie, że czas staje się przestrzenią, a cała druga część drugiego aktu stanowi wykładnię nieistniejącego jeszcze wtedy freudyzmu.

Jako autor oczywiście nie mogę powiedzieć, czy moje formalne i strukturalne ekstrawagancje na coś się komukolwiek przydały, ale przynajmniej próbowałem (razem z całą grupą pisarzy, którzy generalnie, tak jak i ja, skończyli w „lamusie historii”).

A.Ś.: Czym zajmujesz się dzisiaj?

D.K.: Zacznę od tego, że choć przez parę lat studiowałem fizykę na Uniwersytecie Jagiellońskim, to będąc już w USA, zdałem sobie sprawę, że matematyka interesuje mnie o wiele bardziej. Ukończyłem studia matematyczne na California State University w San Francisco. Studia te były okraszone wielką ilością wykładów związanych z humanistyką i – siłą rzeczy – komputerami. Te dodatkowe, niepotrzebne poznawczo wykłady wybierałem, aby poprawić słownik. Wtedy też zrozumiałem, w jak wielkim stopniu zachowanie amerykańskich profesorów jest uległe wobec żądań lewicy, co jedynie wzmocniło moją tęsknotę za tym, jak różne klasyczne tematy były rozumiane i dyskutowane w niegdyś krnąbrnej intelektualnie Polsce.

Nie miałem nigdy złudzeń, że studiowałem sobie a muzom. W bardzo już wtedy postępowej kalifornijskiej akademii nie było szans na jakąkolwiek karierę, gdyż wymagałoby to partycypacji w zastraszaniu i tak już zbaraniałej młodzi w USA różnymi bzdurami na temat ocieplenia klimatu czy rasizmu, którego bardzo trudno się doszukać (nawet wówczas rasistowskie teorie lewicy wymagały wprowadzania marksistowskiego konceptu fałszywej świadomości, aby tę sprzeczność z codziennym doświadczeniem wyjaśnić).

Jeszcze w czasie studiów, a później z braku wyboru, pracowałem na pełny etat: wpraw jako informatyk, a niebawem jako menadżer centrów komputerowych (w największym z nich przetwarzaliśmy dane dla około pięćdziesięciu banków). Taka praca wymaga gotowości o każdej porze dnia i nocy, więc gdy założyłem rodzinę, szybko zacząłem pracować jako konsultant.

Nie mogę powiedzieć, że jestem technicznym informatykiem, ponieważ zajmuję się dwoma typami usług. Pierwszy to pomaganie zwłaszcza małym bankom w wypełnianiu nonsensownych rządowych dyrektyw z zakresu zarządzania informacją, których koszt może te firmy zrujnować (co zresztą jest celem, kochającego wielki biznes, prezydenta USA²). Lokalne banki zawsze były

² Chodzi oczywiście o prezydenta Baracka Obamę, którego druga kadencja dobiegła końca 20 stycznia 2017 (przypis redakcji).

unikalne dla USA (taki koncept przydałby się w Polsce, ale Unia zabroniła) i jeszcze niedawno rosły jak grzyby po deszczu. Mam na swoim koncie prawie sto różnych firm, w tym wiele zagranicznych (Japonia, Chiny, Filipiny, Korea, Indie, kraje muzułmańskie), co bardzo poszerza (na lepsze i gorsze) kulturowe horyzonty. Dzisiaj, dzięki coraz bardziej wymyślnym regulacjom, mniejsze firmy bankrutują na prawo i lewo, co niszczy moje naturalne łowieckie tereny. To prowadzi do drugiej dziedziny, w której „konsultuję”, a mianowicie ochrony bezpieczeństwa i prywatności informacji. Taki zmieniony format usług pozwolił mi przenieść się do ligi wielkich firm, głównie ubezpieczeniowych, a także producentów finansowych aplikacji. Ostatnio spróbowałem pracy na stałe jako zastępca dyrektora do spraw ryzyka informatycznego w dużym banku, ale praca w biurze, gdzie snuje się dwa tysiące ludzi, nie odpowiada zbyt mojemu temperamentowi.

Ponieważ konsultant albo ucztuje, albo głoduje („feast or fast”), miałem zawsze dużo wolnego czasu, który zużywaliśmy z żoną (jako dyrektorka muzeum sztuki też ma sporo wolnego) na fascynacje operą, sztuką, prywatne badania nad Szukalskim czy Wagnerem, częste podróże do kilku części świata, które nas interesują: Hawajów, Karaibów i Jukatenu, no i Europy – ostatnio głównie Włoch, bo strach jechać do Niemiec czy Francji (odkryliśmy przy okazji, że istnieje życie na południe od Neapolu).

Także dla własnej satysfakcji pracuję obecnie nad rekonstrukcją niektórych tekstów, które wejdą w skład zbioru tego, co publikowałem od lat siedemdziesiątych po dziewięćdziesiąte, wraz z tym, co bez powodzenia starałem się opublikować. Kiedy to skończę, wezmę się za przegląd tekstów, których nawet nie próbowałem publikować: coś w rodzaju konstelacji opowiadań dookoła głównej powieści.

Z ciekawostek – od trzydziestu pięciu lat jestem wegetarianinem, a od dwunastu odczuwam dotkliwy brak alkoholu. Aha, wziąłem ślub w Las Vegas, które obok Wenecji jest wciąż jednym z naszych ulubionych miast.

A.Ś.: Właściwie przestałeś pisać w latach siedemdziesiątych. W 2006 roku ukazał się *Pasaż*, który na oficjalne wydanie czekał prawie trzy dekady. Wyjechałeś do Ameryki na początku lat osiemdziesiątych i niemal na dobre odłożyłeś pióro.

D.K.: To, czybym pisał, czy nie (a nie mówię, że przestałem), nie ma znaczenia dla kogoś takiego jak ja, kto przez sam fakt swojej literackiej egzystencji był skazany na zniknięcie ze świata przyjętych dogmatów literatury. Pisałem o tym w zakończeniu mojego tekstu *Elaborat* (w 1980 roku). Większość tego, co napisałem, nie była nigdy publikowana i nie jestem pewien, czy będzie.

A.Ś.: W opublikowanym parę lat temu – w numerze drugim „ele-Watora” z 2012 roku – liście do Jana Drzeżdżona (wysłanym już z Ameryki, w 1981 roku) pisałeś mi między innymi: „Kończę też książkę na temat komunizmu pt. *Imperium czasoprzestrzenne*, gdzie staram się udowodnić, że komunizm jest rzeczywiście dokładną realizacją marksizmu, a także najdoskonalszą jak dotąd próbą realizacji naprawy człowieka przy użyciu megafonów, więzień i masakry”. Książka nie ukazała się...

D.K.: Tekst ciągle mam w rękopisie, który jest trochę przedatowany, jako że dzisiaj mamy neomarksizm (czyli idee szkoły frankfurckiej, które stały się fundamentem zarówno poprawności politycznej, multikulti, jak i postmodernizmu). Ta ideologia króluje w kręgach wykształconych ludzi – zarówno w Polsce, Unii Europejskiej, jak i w USA – bo rządzące oligarchie odkryły parę generacji temu niezwykłą przydatność idei neomarksizmu w procesie, który uważają za konieczny: ulepszania ludzi zagubionych w kulturowej samoidentyfikacji, drobnomieszczanstwie czy konsumeryzmie (społecznej inżynierii lub jak wolę mówić – resocjalizacji mas). Do czego procesy naprawy ludzkości w sposób nieunikniony prowadzą, pisał Czesław Miłosz w *Zniewolonym umyśle*.

Nie przyszło mi wtedy do głowy, że ktokolwiek w wolnej Polsce będzie namiętnie (neo)marksizował, ale obsesja małpowania europejskich intelektualistów przewyciężyła pamięć tragicznych i wciąż żywych doświadczeń.

Potencjalni odbiorcy moich rozważań (nawet nie wiem, czy sensownych) uciekli poza horyzont wydarzeń, rozpoczęli ideologiczną podróż poprzez czas, powrót do momentu tuż przed tym, kiedy Gavrilo Princip pociągnął za cyngiel. Z tego by wynikało, że różne wersje socjalizmu – od narodowego po bolszewicki – jedynie zamroziły konflikty sprzed stulecia i po zmarnowaniu tego czasu niejako wracamy do pasji i oczywistych błędów poprzednich pokoleń.

Jednak by dowiedzieć się, czy moje rozważania na temat przyszłości mają sens, musiałbym czekać na koniec współczesnego cyklu historii, ale tego już nie dożyję.

Wtórne z natury polityczne obsesje ostatnich lat wyeliminowały zdroworoządkowe centrum i zostali tylko marksiści-globaliści oraz chrześcijanie-nacjonalisci. Ani jedno, ani drugie mi nie odpowiada: chrześcijaństwo jako ateście, marksizm jako byłemu obywatelowi PRL, globalizm i nacjonalizm jako komuś, kto zawsze za dużo czytał o tym, jak te fanaberie kończyły się w historii.

Ta cywilizacyjna schizofrenia zaczęła się jeszcze w czasach Oświecenia, czego ilustracją mogą być dwie parafrazy: jedna pochodząca od Jeana-Jacques'a Rousseau, że fakty tylko prze-

szkadzają w swobodnym myśleniu, i druga, Adama Smitha, że fakty są uparte.

A.Ś.: W *Elaboracie* pisałeś dość pesymistycznie: „Proza martwego języka zraziła do siebie wielu czytelników, ponieważ jest pełna hipokryzji i represji. Jednak proza żywego języka nie jest w stanie zatrzymać dla siebie tych osamotnionych nagle wielbicieli literatury, bo nikomu na dłuższą metę nie chce się czytać książek pełnych rezygnacji i lekceważenia. [...] Słowa martwe są zawieszane w atrakcyjnym nigdzie wspaniałych celów literatury. Słowa żywe są zależne od istnienia czasu, który je wydał, obojętne i pozbawione jakiegokolwiek wiary”. Czy mimo to nadal szukasz – o ile szukasz czegokolwiek – w literaturze tego, co proponowałeś w *Liściach croatoan* i *Pasażu*? Mógłbyś zarekomendować jakąś „dobrą” książkę?

D.K.: Z literatury nie będę niczego polecał. Dzisiejsza mnie specjalnie nie interesuje. Odpowiedź dlaczego jest zawarta w słowach Jerzego Pluty, które przywołałem w *Elaboracie*. Nic mnie tak nie nudzi, jak czytanie historyjek o czyichś doświadczeniach czy zdawanie relacji z wrażliwości autora. Czuję też głębokie zniechęcenie do politycznie i ideologicznie motywowanych, ważkich tematycznie tekstów: dla mnie to tylko próby dydaktycznej humanizacji i resocjalizacji zacofanych społeczeństw.

W literaturze interesuje mnie tylko wartość poznawcza, coś nowego. Jeśli chodzi o popularną dzisiaj literaturę multikulti, to rozumiem ją jako wtórność, formę plagiaryzmu, jak choćby kopiowanie Balzaka z umiejscowieniem akcji w Turcji czy Iranie. Oczekiwałem od dzisiejszych pisarzy krajów trzeciego świata jakiejś oryginalności. Bywało tak w przeszłości, i to w peryferyjnych kulturach. Przykładami mogą być „mitologiczny realizm”, pisarstwo Vidii Naipaula czy „nowa proza”.

Jeśli zaś chodzi o niegdyś centralną literaturę z kręgów zamierającej cywilizacji Zachodu, to poza małymi wyjątkami (jak Thomas Pynchon czy William Thomas Gaddis w USA) uległa ona dominacji neomarksizmu, czyli dominacji tematyczności i propagandy, wysiłków budowania lepszego społeczeństwa w przyszłości oraz standardowej krytyce konsumeryzmu i tradycji rodem z dawnej Europy.

Takie wytyczne nie są naturalnym środowiskiem dla zblazowanego czytelnika (jakim jestem), ponieważ o znaczeniu tekstu przesądza tu przekazanie politycznie poprawnej wiadomości.

A.Ś.: Jak z perspektywy tylu lat spędzonych w Ameryce wspominasz swoją nieźle zapowiadającą się karierę literacką? Miałeś wszelkie predyspozycje, by zostać „pisarzem kultowym”.

D.K.: Z możliwego świata, który znałem, niewiele zostało. W sensie modalności, z całego zgiełku światów, które mogłyby nastąpić po

tym pierwszym, też nic się nie zrealizowało. Co nie znaczy, że ten pierwszy dla mnie świat nie miał żadnej wartości – po prostu nic z niego nie wynikło.

Świat, w którym żyjemy, jest zdominowany przez neomarksizm w stylu szkoły frankfurckiej, znany też jako poprawność polityczna. I jest to wielka kiepska idea, a wielkie kiepskie idee wymagają wielkich, duszących biurokracji. Biurokracje zawsze kończą jako oligarchie, jak to odkrył generacje temu Robert Michels, i podlegają „żelaznym prawom oligarchii”. Ci oligarchowie czy też kleptokraci (jak wolę ich nazywać) zmieniają funkcje sztuki z frywolności, piękna, indywidualizmu i nieodpowiedzialności na propagandę zaaprobowanych tematów i formalizmów, wspomaganie wartości globalnej „multikulti”, eliminację tradycji narodowych, nie wspominając o myślowej jednostajności, takiej sobie kolektywizacji itd. Ogólnie nazywa się to nowoczesnością. Czyli, metaforycznie rzecz ujmując, mamy z powrotem realność kulturowych planów pięcioletnich.

I podobnie, artysta nie może być opłacany przez państwo, bo wtedy sam staje się kleptokratą. Naturalnym środowiskiem artysty jest świat zwalczających się klik i samotników, nieponiżających się do partycypacji w tychże. Wspierający sztukę książęta (jak Giuliano della Rovere czy Ludwik II Wittelsbach), którzy patronowali artystom w sposób kapryśny i nieprzewidywalny, ale przez to efektywny, wymarli stulecia temu.

Jak sam widzisz, w tych nowych wymiarach zaawansowanej i niedemokratycznej biurokracji Europy cała przyszłość jest już gotowa do przewidzenia, wyrażona w nagrodach i zarządzeniach. Te biurokratyczne urojenia będą trwały tak długo, aż – jak zwykle w społeczeństwach rządzonych przez kleptokratów – społeczne struktury nie wytrzymają tego negującego rzeczywistość i ludzką naturę nonsensu. I zrobi się bałagan. A co po nim, nikt nie wie. Nie bardzo w tej totalnej poprawności politycznej widzę miejsce dla indywidualistów, więc nie warto żałować mojego pisarstwa, które nie miało szans nawet na utrwalenie racji marginalnego bytu.

A.Ś.: W swoich tekstach często przywołujesz zespoły muzyczne (między innymi Jethro Tull, The Moody Blues), wiem również o Twojej pasji operowej. Co szczególnie cenisz w muzyce?

D.K.: Jeśli miałem jakiejkolwiek zdolności muzyczne, to parę lat nauki gry na akordeonie wysterylizowało tę sferę postrzegania (jeden z koszmarów mojego dzieciństwa, z którego uwolniłem się, jak szybko mogłem).

W muzyce dostrzegam jedynie struktury, i to bardziej matematyczne niż emocjonalne. Krążymy z żoną po USA i Europie w pościgu za doskonałością, czyli za dziełami Wagnera, jako że Wagner doprowadził muzykę do perfekcji na miarę ślepej ulicy. W tym sensie jego muzyka zakończyła pewną epokę i nikt nie

miał dosyć oryginalności, aby rozpocząć nową erę kompozycji, których poziom komplikacji dorównałby poziomowi kompozycji Wagnera.

Ponieważ interesuje mnie tylko muzyka, na większość przedstawień oper Wagnera (szczególnie w Bayreuth) zakładam ciemne okulary, aby nie widzieć tych pozbawionych oryginalności, marksistowskich obrzydlistw na scenie. Nie chodzi tu o eksperymenty, wręcz przeciwnie, o monotonną powtarzalność marksistowskiego katechizmu i ikonografii – takie radosne „brechtowanie” na jedno kopyto. Ale na przykład byłem zachwycony ekstrawaganckim przedstawieniem *Pierścienia* w Metropolitan (Robert Lepage) i oglądałem je kilka razy, zawsze z zapartym tchem (i bez ciemnych okularów).

Kiedy myślę o Wagnerze, lubię wspominać miejsce w Wenecji na pograniczu Giardini i Castello, gdzie w parku naprzeciw siebie stoją posągi Ryszarda Wagnera i Giuseppe Verdiego. Wagner pyszni się w słońcu i spogląda gdzieś w stronę San Giorgio Maggiore, podczas gdy Verdi – zgodnie ze swym nazwiskiem – zdaje się czaić w krzakach i podglądać Wagnera (choć oczywiście nie odmawiam oryginalności Verdiemu, jednemu z moich ulubionych kompozytorów).

Jeśli chodzi o rock'n'roll, to oczywiście nie należy on do tej samej kategorii, co kompozycje Wagnera, Ryszarda Straussa czy Mauricego Ravela. Dla mnie i tak bardzo ograniczona oryginalność tej muzyki trwała mniej więcej od 1966 do 1973 roku. Oczywiście, zdarzyło się później parę ciekawostek, ale powiedzmy szczerze, nikt nie wyszedł poza horyzont nakreślony kiedyś przez Franka Zappę (moim zdaniem największa postać muzyki tych lat). Cały urok tej muzyki polegał na oryginalności i poczuciu wolności. Originalność nut szybko się jednak wyczerpała poprzez proste prawa kombinatoryki, a dusząca polityczna poprawność zastąpiła wolność.

A.Ś.: Zarówno w Polsce, jak i w Ameryce studiowałeś głównie przedmioty ścisłe (między innymi przez dwa lata fizykę na Uniwersytecie Jagiellońskim). A nie myślałeś nigdy o kierunkach humanistycznych?

D.K.: Nigdy, bo zabrakłoby mi precyzji i bliskości realnego życia.

Mam też swoje ograniczenia myślowe, bo jedyna metoda krytyczna, jaka dla mnie istnieje, to traktowanie i ocenianie tekstu tylko w relacji do tego, jak on realizuje swoje wewnętrzne założenia i logikę czy generującą strukturę. Tą drogą podążał Berezka. Taka metodologia nie nadaje się do pozytywistycznej krytyki i literatury przedstawiania świata, bo ważkość dzieła jest w przypadku poprawności politycznej jedynie pochodną istniejących hierarchii polityki i kultury.

A.Ś.: Czy odczuwałeś coś na kształt wspólnoty pokoleniowej z innymi debiutantami lat siedemdziesiątych, skupionymi wokół rewolucji artystycznej Berezy? Czy utrzymujecie kontakt do dziś?

D.K.: Nikt z nas nie był „skupiony” wokół rewolucji artystycznej, bo nigdy nie była to zorganizowana grupa, co sobie bardzo ceniłem. Z drugiej strony brak klikowatości doprowadził częściowo do zniknięcia tej prozy ze świadomości czytelników. Wspólnoty pokoleniowej nigdy ani nie rozumiałem, ani nie odczuwałem. Nie czuję się dobrze w objęciach kolektywistycznych ruchów kulturotwórczych.

W Polsce utrzymywałem prywatne relacje z kilkunastoma pisarzami, podobnie jak ja buntującymi się przeciwko dyktatom pozytywizmu i pełnymi obrzydzenia wobec rzeczywistości PRL-u, ale były to bardzo nieformalne spotkania towarzyskie. Dzisiaj utrzymuję okazjonalny kontakt jedynie z Markiem Słyskiem i Janem Komolką.

A.Ś.: Jak wspominasz swoje relacje z Henrykiem Berezą? Mieliście dobre porozumienie?

D.K.: Nie rozmawialiśmy nigdy dużo o moim pisarstwie, bo ja wiedziałem dokładnie, jakie są poglądy Berezy w tej materii, i nawzajem. Bereza często wspominał o swoich odkryciach w prozie. Głównie staraliśmy się opowiadać sobie śmieszne i paradoksalne historie, zwłaszcza na temat bieżących wydarzeń w Polsce. Już po moim wyjeździe do USA kontynuowaliśmy te rozmowy telefonicznie. Bardzo szybko włączyła się w nie moja żona i właściwie to ona rozmawiała z Berezą dużo więcej niż ja.

A.Ś.: Henryk Bereza pisał: „W moim myśleniu o literaturze szczególnie ważne są dwa określenia, pierwszy świat (własne wyobrażenie świata) i pierwszy język (przywłaszczanie sobie mowy odziedziczonej). Jedno i drugie wiąże się z wielką pracą twórczą w dzieciństwie każdego człowieka, w zasadzie musi to być dzieciństwo przedszkolne”. Jak wspominasz swoje dzieciństwo? Co w tamtym okresie miało największy wpływ na ukształtowanie Twojej osobowości?

D.K.: Podwórko, ulica, książki i Śląsk, bo prowadziłem takie paralelne życie. Wcześniej zdałem sobie sprawę, że żyję w realnym świecie, i byłem mocno zaangażowany w normalne aktywności: piłka, piny, bijatyki (z różnymi wynikami), telewizja, westerny, później dziewczyny, no i zawsze zainteresowanie historią i polityką. W tym samym czasie bez przerwy czytałem – bardzo niewiele książek dla dzieci, bo nudziło mnie czytanie o czymś, co znałem.

W powieści *Pasaż* i dwóch opowiadaniach z przygotowywanego zbioru wydanych ponad trzydzieści lat temu tekstów (*Chronologia borealna*) odwiedziłem te pierwsze światy z perspektywy kogoś, kto wówczas dopiero co je opuścił.

- A.Ś.: Pozostańmy jeszcze przy Berezie. Szczególną wagę przywiązywał do snów, które regularnie zapisywał, a w 1997 roku zbiór takich zapisów opublikował (*Oniriada*). Jakie znaczenie sny mają dla Ciebie? Czy wpływały (świadomie) na to, jak i o czym piszesz?
- D.K.: Mam do oniriad bardziej osobisty stosunek, bo oniriady i swoje poezje Bereza czytywał mojej żonie i mnie przez telefon, jeszcze „cieple”.

Około połowa tekstów, które popełniłem przed wyjazdem do USA, była oparta na snach, chociaż nie tylko w znaczeniu dosłownej relacji, a bardziej w sensie interpretacji, trochę analitycznej, bo mnie to wtedy interesowało, zwłaszcza kiedy przeczytałem fragmenty książki Erica Berne’a *W co grają ludzie*. We wspomnianym zbiorze opowiadań – *Chronologia borealna* – cztery z siedmiu tekstów powstało właśnie w taki sposób.

- A.Ś.: A jak tłumaczysz – poza wspomnianym brakiem formalnego zorganizowania – całkowite niemal zniknięcie z czytelniczej świadomości młodej prozy? Czyżby nadal pokutowało odium socparnasizmu?
- D.K.: Nie sądzę, że odpowiedź na to pytanie zjedna mi wiele sympatii, ale zawsze miałem problemy, bo uważałem, że wolność słowa jest bez znaczenia, jeśli się nikogo nie obraża.

Już w *Elaboracie* wspominałem, że nowa proza jest efemerycznym z natury zjawiskiem. Wydarzenia ostatnich kilkudziesięciu lat tylko potwierdzają tę diagnozę. Nie chodzi tu nawet o nową prozę, ale też o starszych pokoleniowo pisarzy, jak Stachura, Iredyński, nawet Gombrowicz, Herbert, Sebyła, Parnicki, Buczkowski. Z tego, co słyszę z Polski, generalnie pisarze nieakceptujący pozytywistycznego modelu przedstawiania świata, „tu i teraz” są wypchani w „sztuczny cień”, o którym wspominał niedawno Marek Sołtysik.

Pisarze rozumiejący fakt, że Polska jest krajem granicznym cywilizacji Zachodu – i ta cywilizacja nie może być zredukowana do zbioru przepisów zmyślanych dzisiaj przez urzędasów Unii Europejskiej czy wyeliminowana przez KOD – są uważani za parnasistów.

Widzę aż cztery interpretacyjne strategie, metodologie, czy też wymiary, osie odniesienia – nie chodzi tu zresztą o poprawną nazwę – których aplikacja w krytyce literackiej z łatwością wyjaśnia zagadkę śmierci nie tylko młodej prozy, lecz także dziesiątków wielkich pisarzy sprzed eksplozji „tu i teraz”.

Po pierwsze, metodologia manipulacji osiami metonimii i metafory, tak jak je rozumiał Jakobson (a później Lévi-Strauss czy Lacan). Dyktatura socrealizmu i pozytywizmu eliminuje rolę metafory oraz kaleczy język poprzez redukcję wypowiedzi do przedstawiania, relacji czy przykładu. A zatem literatura jest tu

zdefiniowana jako protokół z zebrania politycznego (zaangażowanie, ważkość tematyczna).

Po drugie, metodologia oparta na koncepcie fałszywej świadomości, tak jak rozumie to szkoła frankfurcka. Dyktatorzy kultury w kraju skazanym przez postępową Europę na chałupniczość uważają, że kulturowo Polacy powinni skoncentrować się na lokalnym kolorycie, zamiast, broń Boże, spojrzeć na szerszy świat. W tym wypadku definicja literatury to dogmatycznie wymuszone, przasne przedstawianie zaściankowości („tu i teraz”, przedstawianie świata).

Po trzecie, metodologia rozwiązania konfliktu między jednostką a kolektywem na rzecz kolektywu, szczególnie że concept autonomii jednostki jest typowy dla zgniłej kultury Zachodu. Mamy tu do czynienia z definicją literatury jako odrzucenia dziedzictwa kulturowego Zachodu (poprawność polityczna, multi-kulti).

Po czwarte, metodologia odrzucenia eksploracji poznawczej w literaturze, już dawno wyeliminowana jako sprzeczna z neomarksistowskim diamatem. Stąd bierze się definicja literatury jako niedorozwiniętej umysłowo siostrzyczki polityki, propagandy, akademii (pozytywizm).

Z kulturowej perspektywy powyższe metodologie czy też strategie są równoważne z redukcją literatury do poziomu propagandowej i reedukacyjnej aktywności oraz z założeniem, że ktoś (jak krytyk, polityk, duchowy przywódca) ma prawo dyktować innym, co można pisać, a czego pisać nie można.

Z politycznej perspektywy dzisiejsza rola Polski, nie tylko w kulturze, jest już zdefiniowana jako powielanie sprawdzonych modeli i marsz śladami starszych braci i siostr z Unii, czyli Niemiec, bo Polska ma istnieć jako kraj wasalny w części Europy zdominowanej przez Niemcy (i mówi to ktoś, kto ma wiele sympatii dla Niemiec i spędzał tam dużo czasu). Dlatego przedstawiciele dzisiejszych polskich elit kulturalnych biegają po Niemczech, skarżąc się na zacofanie polskiego społeczeństwa. Oryginalność w Polsce jest bardzo wyraźnie zakazana i siłą rzeczy wyszydzana, bo dogmatycznym celem kultury jest nowoczesność – skodyfikowana przez tych, którzy „wiedzą lepiej”, czyli ideologicznie dojrzalszych, starszych braci i siostr z Europy A.

A.Ś.: Jaki jest Twój stosunek do postmodernizmu?

D.K.: Wspominałem już o tym. Dla mnie postmodernizm stanowi aplikację dogmatów szkoły frankfurckiej. Jest atakiem w samo serce cywilizacji Zachodu, czyli wszystkie unikalne elementy, które odróżniają ją od innych cywilizacji.

Trzeba więc nazwać to, co jest przedmiotem takiego wpierw filozoficznego, a później politycznego ataku. Aby nie być gołosłownym,

podam przykłady tych unikalnych dla Zachodu idei, zaczerpnięte z wydanej w 2011 roku książki Nialla Fergusona *Civilization: The West and the Rest* (książki pomyślanej chyba jako forma odkupienia za krótkotrwałą fascynację autora Barackiem Obamą). W publikacji tej Ferguson wspomina sześć „killer applications”, odróżniających Zachód od innych cywilizacji: rywalizacja, nauka, własność prywatna, medycyna, konsumpcja i etyka pracy. Te niejako mobilne aplikacje mogą być „załadowane” w jakiegokolwiek cywilizacyjny system i przynieść sukces (przykładami są tu kraje spoza kręgu Zachodu, jak Japonia, Korea Południowa, Chile, Izrael, Hongkong, Singapur, a niegdyś Kuba i Argentyna). Na własne potrzeby tłumaczę powyższe „aplikacje” na: koncept jednostki, koncept liniowego (a nie cyklicznego) czasu, rozpoznanie, że kobiety są ludźmi, zainteresowanie innymi cywilizacjami (antropologia), wolność słowa, ogólna tolerancja dla idei i zachowań, wiedza o tym, jak stwarzać masowy dobrobyt, radykalna decentralizacja polityczna, odrzucenie konceptu gier o sumie zerowej w ekonomii i polityce.

Poza Foucaultem, w którego poglądach znalazłem wiele inspiracji, cała reszta, a więc Derrida, Lyotard, Rorty, Baudrillard i inni – zwłaszcza w konceptach dekonstrukcji i mikronarracji – wykazuje moim zdaniem zupełną bezradność wobec złożoności rzeczywistości, która to bezradność doprowadza do rozumienia wszystkiego na poziomie najniższego wspólnego mianownika. Czyli desperacki wysiłek równania w dół, gdzie jedyny możliwy konsensus to ciemnogród. Rządy wykształconych dusz – sprawowane przez tę ideologię – pokazują, co się stało z dawnymi konceptami, na przykład naukowej rzetelności. Tradycyjnie skuteczność metod naukowych czy racjonalizm opierały się nie na wymuszonym ujednoczeniu opinii, ale na precyzyjnej ocenie ograniczeń zastosowania i rozmiarów nieuniknionego błędu, kiedy te granice zostają przekroczone. W przeciwieństwie do tej tradycji postmoderniści zakładają, że nauka nie jest wysiłkiem zrozumienia rzeczywistości, ale rodzajem towarzyskiej aktywności, konwersacji i opowiadań między oświeconymi neomarksistami, którzy kolektywnie osiągają konsensus, co kończy całą zabawę. O tej antynaukowości, jeśli chodzi o kulturę, wspominał jeszcze w czasach prehistorii dnia dzisiejszego Umberto Eco (o ile mnie pamięć nie zawodzi, w *Dziele otwartym*).

Bezpośrednio doświadczyłem owej fali postmodernizmu, kiedy spłynęła z wyżyn akademii i stała się doktryną polityczną intelektualnych bojówek, najpierw w amerykańskich uniwersytetach, później w polityce, a nawet w prywatnych firmach. Oznacza to między innymi koniec uniwersytetu jako miejsca dyskusji, badań i nowych idei, polityki – jako spełniania woli wyborców, firmy – jako organizacji generującej dodatkową wartość.

Postmodernizm to sprytna manipulacja, która poprzez koncepty mikronarracji czy małych opowieści (storytelling) doprowadziła do eliminacji języka dyskursu, a w konsekwencji do zniknięcia jakichkolwiek możliwości logicznych czy naukowych dyskusji. Tę sztuczną pustkę, zamiast respektu dla innych poglądów i logicznej argumentacji, wypełnia (jak zwykle w historii) brutalna, polityczna z natury siła. Dla przykładu, Departament Sprawiedliwości w USA rozważa możliwość wsadzania ludzi do więzień za opozycję do pseudonauki związanej z „globalnym ociepleniem”. W Europie ludzie już siedzą w więzieniach za wyrażanie swych opinii (przynaję, że często odrażających). Cenzura i sofistyka raz rozpoczęte są jak reakcja nuklearna – nigdy nie będą kontrolować się same.

A.Ś.: Pomówmy teraz o recepcji Twojej prozy. W zakończeniu Janusza Termiera recenzji *Pasażu* czytamy: „Chciałbym poznać jego obecny stosunek do własnego dzieła. Nie wydaje mi się, żeby nie był to stosunek już z lekka pobłażliwy i nieco może nawet ambiwalentny. Sądzę tak na podstawie dalszych życiowych losów Donata Kirscha – teraz poważnego informatyka, pracującego w dziedzinie łączącej świat wirtualny z realnym”.

Z kolei Dariusz Nowacki pisał: „*Pasażu* nie da się obronić. Nie tylko dlatego, że jest to powieść nieporównanie bardziej nieczytelna i dziwaczna niż debiutanckie *Liście croatoan*. Przede wszystkim dlatego, że nie ma najmniejszego powodu, żeby jej bronić. Nie było wystarczającej przesłanki trzydzieści lat temu, tym bardziej nie ma jej dziś”. A nieco dalej: „Tutaj tylko bezinteresowna, niebywale szlachetna męka wchodzi w rachubę, ewentualnie męka masochistyczna”.

W omówieniu *Liści croatoan* Andrzej W. Pawluczuk przestrzegł: „jeśli nie wzbogaci on [Donat Kirsch – A.Ś.] się jako człowiek i pisarz, będzie zapewne dalej powielał sztancę *Liści croatoan*, nie wychodząc poza dokumentowanie upadłej i bezbronnej świadomości”. Po niespełna trzydziestu latach Edyta Antoniak, komentując recenzję Pawluczuka, napisała o *Pasażu*: „powieść Kirscha przypomniana po latach ma sens tylko jako dokument-świadek niedoszłej rewolucji artystycznej, przeznaczony dla koneserów tego rodzaju prozy”.

Czy poważny dziś informatyk rzeczywiście zdystansował się od „eksperymentatorstwa literacko-artystycznego” sprzed lat? Czy nie jest Ci przykro, że narażasz czytelników na lekturowe piekło? Dlaczego nigdy nie pisałeś „tak po prostu”, dla ludzi?

D.K.: Cała moja opinia na temat pisania i literatury została najlepiej wyrażona w słowach Jerzego Pluty, cytowanych w *Elaboracie*. Ta „chropowatość”, którą on wspomina, jest nieuniknioną konsekwencją wprowadzania różnorodności filozofii i punktów

widzenia do literatury. Owa wielorakość perspektyw oczywiście doprowadza pozytywistycznych krytyków do stanu intelektualnej niepewności, co wyzwala, jako mechanizmy obronne, arogancję i agresję.

Dlatego przykłady, które wspominasz, bardzo dobrze ilustrują, co mam na myśli. Również to, że zażarty marksistowski krytyk z lat siedemdziesiątych niewiele się różni od krytyków piszących trzydzieści lat później, po oficjalnym upadku komunizmu.

To, że pozytywista, wychowany na lekturze dzieł opisujących ważkość wydarzeń w uproszczony formalnie sposób, ma problemy z moim pisaniem – to nie jest mój problem. Z drugiej strony, nigdy bym nie ośmielił się, jak to robią ci właśnie krytycy, na nieusprawiedliwioną arogancję, aby twierdzić, że inne sposoby pisania nie mają racji bytu. Ludzie piszą i powinni pisać, co chcą. Jeśli nikt tego nie chce czytać lub jest mała liczba elitarnych odbiorców, pytam ponownie – dlaczego ma to być częścią krytycznej analizy? Tego typu kwestie należą do zagadnień ekonomii rynku czytelniczego i tego, co się najlepiej sprzedaje, a nie studiów nad literaturą.

A.Ś.: Zapytam Cię na koniec – w amerykańskim stylu: czy jesteś dziś szczęśliwym człowiekiem?

D.K.: Kiedy wyjechałem z Polski, nie poszedłem śladami moich rodaków ze Śląska i nie trafiłem do Niemiec. Wielu z nich nabijało się ze mnie, bo zamiast dostawać zapomogi i pożyczki, musiałem od razu pracować. Już w pierwszym roku życia w USA płaciłem podatki.

Do USA pojechałem z trzech powodów. Po pierwsze, wskutek doświadczeń mojej rodziny. Dziadek mieszkał przez dwadzieścia lat w USA, po czym wrócił na Podole, aby, dzięki Sowietaom, znaleźć się na Uralu, podczas kiedy moja matka znalazła się w Kazachstanie. Z kolei mój ojciec jako nastolatek zwerbowany przez Wehrmacht (skąd zdezerterował) mógłby, teoretycznie, walczyć przeciwko swojemu bratu, który służył w dywizji pancerniej Maczka. Obiecałem sobie, że te nieuniknione koszmary centralnej Europy – między czerwonym a czarnym – nie będą częścią mojego życia.

Po drugie, mój wstręt do marksizmu osiągnął w PRL-u poziom patologiczny i miałem obawy, że albo zapiję się na śmierć, albo ukroćę moją mizerną egzystencję na wiele dostępnych wówczas sposobów. Do takiej decyzji zachęcały, poprzez notoryczne obrzydzanie mi życia, zmęczone moimi wybrykami lokalne komunistyczne organa.

Po trzecie wreszcie, zawsze odpowiadał mi cyniczny koncept demokracji, wprowadzony w USA pod koniec osiemnastego stulecia przez „founding fathers”. Ich pragmatyczne poglądy na ułomność natury ludzkiej oraz znalezienie sposobu, jak na tej ułomności zbudować solidny i funkcjonujący system polityczny

(siłą rzeczy – nieperfekcyjny), doprowadziły do powstania najbogatszego państwa w historii i pierwszej demokracji na skalę kontynentalną. Ten system nawet kilka razy ratował Europę. W przeciwieństwie do owego modelu Unia Europejska zdecydowała się (zamiast początkowej koncepcji Europy regionów) realizować pomysł reedukacji zacofanych Europejczyków oparty na przytłaczającej biurokracji. Ten koncept budzi przerażenie nawet starych marksistów, jak Jürgen Habermas, którzy wytykają Unii demokratyczny deficyt.

Muszę przyznać, że wciąż jestem zafascynowany nieuniknieniem zdecentralizowaną i chaotyczną Ameryką. To kwestia technologicznego społeczeństwa, w którym technologia nie zaspokaja potrzeb, ale je dyktuje, i którym Ameryka była do mniej więcej początku lat dziewięćdziesiątych, kiedy polityczne – oligarchiczne z natury – elity (zarówno z lewa, jak i z prawa) zaczęły likwidować ten stan rzeczy. Dla konserwatystów technologia nie powinna istnieć, bo jest w sprzeczności z wyimaginowanym światem z obrazków Normana Rockwella. Dla postępowców technologia jest czymś, do czego normalni ludzie nie dorośli, więc normalni ludzie powinni być podporządkowani ustabilizowanym biurom i poprawności politycznej.

Zawsze mieszkałem blisko jakiejś wielkiej wody, szczególnie Pacyfiku. Moje doświadczenia sprowadzają się przede wszystkim do trzech miast-państw, głównie amerykańskiego Zachodu: Chicago, San Francisco i oczywiście Los Angeles. Są to miejsca, o których dawno temu jedynie czytałem – i dlatego, że się przygotowałem na te spotkania, los nie oszczędził mi całej głębi szoku tych doświadczeń. Toteż moja fascynacja tymi molochami jest często mroczna. Chociaż nauczyłem się nawigacji po zakamarkach owych miast-państw, zdaję sobie sprawę z wyzwania, jakie stanowią dla kogoś, kto jak ja wyrósł w Tarnowskich Górach.

Ponieważ w USA zaczynałem dosłownie od zera, polegając tylko na sobie i generalnej dobroćliwości Amerykanów, mogę czuć się tutaj jak u siebie. Nigdy nie dostałem pomocy finansowej ani o nią nie prosiłem. Dzięki Bogu amerykańskie społeczeństwo jest bardzo otwarte i rasizm czy uprzedzenia praktycznie nie istnieją, przynajmniej na poziomie normalnego, codziennego życia. Ciągłe każdy może dać sobie radę, bo tradycyjne amerykańskie rozumienie równości to nie równość wyników, a równość szans.

Co mnie fascynuje w Kalifornii, to kosmopolityzm, a także to, z jaką swobodą przybysze dosłownie z całego świata rozumieją się i mieszają pod protekcją konsumeryzmu, wolnego rynku i potężnego dolara. Ten bardzo otwarty i merytokratyczny system powoli ulega nieustannej presji rządzących nami oligarchii, które realizują swoje szczytne cele poprawy rodzaju człowieczego.